

„Dzieciom przekazuję, aby o ojcu pamiętali... jak mnie zabraknie”

Stanisława Trajkowska

Pomysł powołania niezależnych od komunistycznych władz w Polsce organizacji zawodowych podnoszono w środowiskach opozycyjnych już po wydarzeniach w Radomiu i Ursusie w 1976 r. Dopiero strajki sierpniowe na Wybrzeżu w 1980 r. stworzyły realne możliwości stworzenia struktur organizacyjnych wolnych od kurateli władz PRL. Żądania robotników, zmierzające do złamania monopolu państwowego na ruch związkowy, napotkały na silny opór członków komisji partyjno-rządowej w Gdańsku. Po jego złamaniu i wymuszonej akceptacji (Porozumienia Sierpniowe: Szczecin 30.08.80; Gdańsk 31.08.80; Jastrzębie Zdrój 03.09.80; Huta Katowice 11.09.80) nastąpiło spontaniczne tworzenie struktur Solidarności, a na jej czele stanął Lech Wałęsa (Przewodniczący Krajowej Komisji Porozumiewawczej). Związek stał się natychmiast główną siłą polityczną w Polsce i skutecznie zagroził hegemonii Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Władze komunistyczne podjęły nieudaną próbę opanowania kierownictwa Solidarności. Nie udało się również włączenie jej w istniejący system zdominowany przez PZPR.

W tej sytuacji komuniści (pozostający pod rosnącą presją przywódców sowieckich) zaczęli brać pod uwagę rozwiązania konfrontacyjne. Także masy członkowskie Solidarności ulegały radykalizacji, a konflikty społeczno-ekonomiczne zaczęły nabierać charakteru politycznego. W gorącej atmosferze dyskusji nad strategią działania przebiegały obrady I Krajowego Zjazdu Delegatów Solidarności w Gdańsku we wrześniu i październiku 1981 r. Wałęsa z trudem obronił pozycję przywódcy. Kierownictwo związku nie znalazło pomysłu na usztywniające się stanowisko władz partyjno-państwowych. Ugodowo nastawionego Stanisława Kanię zastąpił na stanowisku I sekretarza KC PZPR generał Wojciech Jaruzelski. 13 grudnia 1981 r. wprowadził stan wojenny i stanął na czele WRON (Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego), która przejęła pełną władzę w kraju. Miała na celu likwidację Solidarności poprzez internowanie kilku tysięcy osób z jej kierownictwa i aktywu oraz wprowadzenie surowych rygorów wobec polskiego społeczeństwa, m.in. zakazu zgromadzeń, pochodów i manifestacji. Sparaliżowany początkowo związek odrodził się.

W drugą rocznicę podpisania Porozumień Sierpniowych, 31 sierpnia 1982 r., mieszkańcy Lubina spontanicznie odpowiedzieli na apel Solidarności, publikowany w kolportowanych nielegalnie ulotkach, by zebrać się o godz. 16-tej na Rynku. Już o 15:40 około 200 osób oczekiwało w grupkach na sygnał. Przed 16-tą tłum ten urósł do 2000 ludzi. Na rynek wjechała karetka i zaczęto układać krzyż z kwiatów, śpiewać pieśni patriotyczne i domagać się m.in., by "Uwolnić Lecha" (Wałęsę), a "Zamknąć Wojciecha" (Jaruzelskiego). Wydarzenie nie robiło wrażenia groźnej demonstracji. Tłumek ludzi, niewielka grupa zomowców. Milicyjny duży fiat jeździł wkoło rynku i przez megafon oficer nawoływał, żeby się rozejść, bo manifestacja jest nielegalna. Przez śpiew ludzi słabo było go słychać. Gdy manifestacja zbliżała się do końca, a niektórzy uczestnicy zaczęli się już rozchodzić, milicjanci wystrzelili gaz łzawiący. Ciężkie puszkę poleciały w tłum. Przerażony tłum się rozproszył, chroniąc się w uliczkach i pomiędzy blokami w pobliżu rynku.

Około godziny 16:30 milicjanci zaczęli strzelać z ostrej amunicji. Niedaleko poczty głównej i pijalni piwa „Gwarek” (obecnie klub La Cafe) nagle jeden z biegnących mężczyzn przewrócił się przed stojącym "Żukiem". Prawie równocześnie także drugi mężczyzna padł na chodnik. Ludzie, którzy biegli, zatrzymali się, i zaczęli krzyczeć, żeby brać tych mężczyzn do szpitala. Do "Żuka" włożyli mężczyznę, który przewrócił się pierwszy i żył jeszcze. Drugiego włożono do samochodu tylnymi drzwiami. Byli to Andrzej Trajkowski i Mieczysław Poźniak. Jeden otrzymał postrzał w brzuch, drugi w głowę. Mieczysław Poźniak był kawalerem, Andrzej Trajkowski miał żonę i czwórkę dzieci. Pani Stanisławy Trajkowskiej nikt o śmierci męża nie powiadomił. Dopiero rano 1 września, po upływie godziny milicyjnej, mogła wyjść z domu, by szukać męża. Na milicji niczego się nie dowiedziała. Dopiero w szpitalu usłyszała wiadomość, która na zawsze zniszczyła jej życie.

Tymczasem manifestacji już nie było, tylko przerażeni ludzie, którzy próbowali uciekać, a nie wiedzieli jak, bo milicyjne „Nyski” jeździły wkoło, odcinając drogę. Widać w nich było strzelców, którzy urządzili sobie polowanie, celując do losowo wybranych ludzi. Gdy część manifestantów uciekała przez mostek nad rzeczką, z milicyjnej nyski zomowiec wymierzył w ich stronę. Nagle jeden z mężczyzn upadł twarzą do ziemi, a z głowy połała mu się krew. Kilku mężczyzn chwyciło rannego za ręce i nogi i biegiem zaniósł go do dużego fiata, który zawiózł go do szpitala. Był to Michał Adamowicz, 28-letni górnik. Miał żonę i dwoje małych dzieci. Jak większość górników, odpowiedział na apel podziemnej Solidarności, by w drugą rocznicę Porozumień Sierpniowych ułożyć na lubińskim rynku krzyż z kwiatów. Wanda Adamowicz bardzo chciała iść tam z mężem, ale nie poszła, bo bolały ją zęby. Ostatni raz widziała męża 31 sierpnia, gdy wychodził rano do pracy. Kiedy wyjeżdżał o godz. 14 z kopalni, miał dobry humor i żartował: „Idę z komunistami powalczyć...”.

31 sierpnia 1982 r. Krzysztof Raczkowiak, lubiński fotografik i fotoreporter (związany niegdyś z tygodnikiem "Konkrety") zrobił około 200 zdjęć. Wśród nich i to najsłynniejsze, na którym grupa mężczyzn w biegu unosząca nieprzytomnego, rannego śmiertelnie w głowę, 28-letniego Michała Adamowicza.

Michał Adamowicz, postrzelony jako ostatni, w szpitalu żył jeszcze trzy dni. Pani Wanda dotarła do niego przez piwnicę, bo szpital był obstawiony przez milicję. Jej mąż nie ruszał się, z dziury w głowie sączyła mu się krew. Lekarz mówił wprawdzie, że on już właściwie nie żyje, ale musi go jak najdłużej przy życiu utrzymywać. Tak mu kazała milicja, żeby nie psuł im statystyk ofiar...

Dzień po zbrodni, 1 września ok. godz. 16.00 w miejscu, gdzie poprzedniego dnia zastrzelono Andrzeja Trajkowskiego i Michała Późniaka, zebrała się grupa kilkuset osób, która w trakcie przemarszu przez miasto, wzrosła do kilku tysięcy. Najpierw ludzie przeszli pod szpital, ominęli komendę milicji, która osłaniana była przez wojsko i skierowali się ulicą Odrodzenia w kierunku Komitetu Miejskiego PZPR. Dopiero wtedy nastąpił frontalny atak ZOMO, a ściganie po mieście uczestników demonstracji trwało do późnych godzin wieczornych.

Manifestacje na ulicach miasta trwały również 2 września. Funkcjonariusze nie odważyli się więcej użyć ostrej amunicji, ale rozpoczęły się fale aresztowań i zastraszania. Lubin ogłoszono miastem zamkniętym, nie dopuszczając do niego ludzi z zewnątrz, zwłaszcza dziennikarzy. Manifestacyjny charakter miały też pogrzeby zamordowanych, na których śpiewano pieśni patriotyczne i wygłaszano antykomunistyczne przemówienia.

W kolejnych latach w każdą rocznicę wydarzeń w lubińskich kościołach odbywały się msze za pomordowanych, a następnie pochody na cmentarz komunalny, niejednokrotnie rozpędzane przez jednostki milicji i ZOMO.

Zbrodni lubińskiej nigdy do końca nie wyjaśniono. Po demonstracji władze natychmiast przystąpiły do zacierania niewygodnych śladów. Nikt nie zabezpieczył broni, z której strzelano. Funkcjonariuszy rozliczono z pobranej amunicji dopiero kilka tygodni później. Badanie użytej broni, i to tylko kilku egzemplarzy, przeprowadzono cztery miesiące później. Pierwsze śledztwo w sprawie śmierci demonstrantów, które odbyło się w 1983 roku zostało umorzone.

Podjęte po 1989 roku śledztwo nie ustaliło nazwisk milicjantów, którzy strzelali do tłumu. W 1992 roku, tuż przed 10 rocznicą wydarzeń lubińskich, wysłano do sądu akt oskarżenia. Postawiono zarzuty siedmiu osobom, ale tylko trzem o sprawstwo kierownicze do zabójstwa, czyli o czyn, który się nie przedawnia. Przesłuchano kilkaset osób. Od 1993 roku wrocławskie sądy wydały w ich sprawie osiem wyroków. Za pierwszym razem wszyscy trzej oskarżeni zostali uniewinnieni, potem byli uznawani winnymi i skazywani. Zapadły prawomocne wyroki na trzech dowódców milicji. Byli to: Bogdan G., ówczesny zastępca komendanta wojewódzkiego Milicji Obywatelskiej w Legnicy (odsiedział w więzieniu rok i 3 miesiące), Jan M., były zastępca komendanta rejonowego MO w Lubinie skazany na 3,5 roku więzienia i Tadeusz J., dowódca plutonu ZOMO skazany na 2,5 roku więzienia. Nadal nie wiadomo np., kto strzelał do demonstrantów. Do tej pory nie zostali ukarani mocodawcy pozwolenia na użycie broni podczas manifestacji w Lubinie pochodzący z pewnością z centralnych władz WRON i PZPR. Nie jest też do końca jasne, dlaczego akurat Lubin wybrano jako miejsce zbrodni w celu zastraszenia reszty kraju.

Jan M. ówczesny zastępca komendanta rejonowego MO w Lubinie jako jedyny z trzech osądzonych w procesie lubińskim nie odbył wymierzonej mu przez sąd kary. Sąd aż pięciokrotnie odroczył wykonanie kary ze względu na bardzo zły stan zdrowia osądzonego. Jan M. mieszka w pobliskim Osieku. Zły stan zdrowia nie przeszkodził mu pracować społecznie. Został wybrany na przewodniczącego rady sołectkiej. Pomagał organizować dożynki, załatwiał budowę chodników we wsi oraz organizował czyny społeczne. Były oficer milicji wciąż figuruje w rejestrach sądowych jako właściciel hurtowni alkoholi. Pod koniec 2011 roku zamiast stawić się do więzienia, przesłał zaświadczenie, iż przebywa w szpitalu. Dwa dni później lokalna telewizja z Lubina sfilmowała go w domu. Doszło też do absurdalnych sytuacji. Dwóch zomowców, który brali udział w pacyfikacji ludności w Lubinie, zażądało odszkodowania, gdyż czuli się poszkodowani, bo rozpoznali siebie na zdjęciach z tamtego okresu. W 25 rocznicę tych tragicznych wydarzeń, zdjęcia te wywieszono na jednym z bloków w centrum miasta. Wywieszenie zdjęć miało naruszyć ich dobra osobiste. Natomiast żaden z nich nie czuł potrzeby przeproszenia za udział w tamtej masakrze.

Po upadku systemu komunistycznego w 1989 r. powstało w Lubinie Towarzystwo Pamięci Ofiar Lubina'82. Dla uczczenia zabitych w 1992 r. postawiono Pomnik Pamięci Ofiar Lubina'82 oraz dwa krzyże. Pierwszy poświęcony Michałowi Adamowiczowi, drugi Mieczysławowi Późniakowi i Andrzejowi Trajkowskiemu. Ustawione są one w miejscach, w których mężczyźni ci stracili życie. Miejsce, w którym doszło w Lubinie do tragicznych wydarzeń 31 sierpnia 1982 r., usłane jest głazami-świadkami będącymi elementami monumentalnej instalacji rzeźbiarskiej Zbigniewa Frączkiewicza. Na jednym z tych kamieni autor wyrył napis "Milczą, a jednak wołają".